



PYZIK EMIL

Z BESKIDU NISKIEGO POD KARKONOSZE

WSPOMNIENIA ZE SZKOŁY NAUCZYCIELA FIZYKI

JELENIA GÓRA 2009

Urodziłem się podczas wojny na Podkarpaciu w dawnym województwie rzeszowskim. Pochodzę z biednej, wiejskiej i wielodzietnej rodziny. Moim rodzinnym domem była stara wiejska drewniana chałupa, kryta słomą z klepiskiem i bez prądu elektrycznego. Ponieważ w szkole podstawowej osiągałem dobre wyniki w nauce, dlatego zostałem skierowany do Liceum Pedagogicznego w Goilicach oddalonego od mojego domu o 20 km. Dzięki temu, że przy szkole był internat, w którym mieszkaliśmy przez 5 lat, to 95 % przyszłych nauczycieli było pochodzenia chłopskiego. Zdecydowana większość absolwentów ponownie powróciła do pracy na wieś.

Pierwszą pracę w 1961 roku otrzymałem we wsi łemkowskiej Zdynia, na pograniczu polsko - słowackim. Miejscowość pięknie położona między górami porośniętymi wiekowymi bukami, lecz bez prądu elektrycznego, telefonu, a do autobusu było tylko 5 km, listonosz przychodził dwa razy w tygodniu. Wieś słabo jeszcze zaludniona po „Akcji Wisła” w 1947 roku, kiedy to wysiedlono sporą część tamtejszej ludności na „Ziemie Zachodnie” za sprzyjanie bandom UPA. Po 1, 5 rocznej pracy, zostałem powołany na 2 lata do wojska, a ponieważ pochodziłem z rzeszowskiego, dlatego służbę odbywałem w Koszalinie i Kołobrzegu w Wojskach Ochrony Pogranicza.

To właśnie tam nad morzem powstała myśl, aby tym razem zatrudnić się tam, gdzie pracuje już moja dziewczyna, czyli w Karkonoszach koło Jeleniej Góry. Czesława pochodziła z sąsiedniej wioski i po ukończeniu 5 letniego Technikum Włókienniczego w Krośnie w 1963 roku, za namową przedstawicieli Zakładów Lniarskich, podjęła pierwszą pracę na Dolnym Śląsku w DZPL „Orzeł” w Mysłakowicach. Ja zaś udałem się do Wydziału Oświaty w Jeleniej Górze gdzie zasugerowałem, aby blisko szkoły było mieszkanie i stołówka. Moje warunki zostały zaraz spełnione i 1 września 1964 roku rozpocząłem pracę w Państwowym Prewentorium Przeciw gruźlicy w Miłkowie, na zboczu Grabowca, na wysokości 600 m n.p.m. w pięknym domu drewnianym wybudowanym w stylu tyrolskim. Czesława zamieszkała w hotelu robotniczym a ja w prewentorium.

W klasach było mało dzieci, nauka trwała tylko do godziny 12, a mieszkanie i stołówka oraz opierunek na miejscu. Jedyną wadą było to, że do najbliższego domu była spora odległość. Po roku pracy postanowiliśmy się pobrać. Ślub i skromne przyjęcie odbyło się w połowie drogi między Jelenią Górą a rodzinną miejscowością

w rzeszowskim, czyli u mojej siostry w Grodkowie koło Nysy, dokąd kilka lat wcześniej przyjechała. Teraz wynajęliśmy skromny pokój z umeblowaniem w Górnym Miłkowie i wreszcie razem zamieszkaliśmy. Niestety, idylla trwała tylko 2, 5 roku. Z braku naboru dzieci chorych na gruźlicę i ze styku z gruźlicą, zakład został zamknięty. W tym samym miejscu, lecz po generalnym remoncie powstał Zakład Opiekuńczy dla dzieci upośledzonych tak fizycznie jak i umysłowo. Nauczyciele i wychowawcy odeszli, a ich miejsce zajęły siostry zakonne. Zakład istnieje do dnia dzisiejszego i został jeszcze rozbudowany.

Do Mysłakowic przyszedłem w grudniu 1966 roku na zastępstwo za bibliotekarkę, która odeszła na roczny urlop dla poratowania zdrowia. W ten sposób zostałem bibliotekarzem na całą dużą szkołę i nauczycielem języka polskiego w klasie 5. Praca była ciekawa, cicha, spokojna i daleka od zgiełku szkolnego. Z domu w Miłkowie wychodziliśmy rano o godzinie 6 i szliśmy 3 km do dworca kolejowego, skąd jechaliśmy do Mysłakowic, następnie szliśmy żona do „Orla” a ja do szkoły. Trzeba tutaj nadmienić, że byłem pierwszy w szkole po woźnym. Po południu wracaliśmy do domu pociągiem o godzinie 15 z Mysłakowic i znowu pieszo ze stacji w Miłkowie kolejne 3 km.

Jak tylko rozpocząłem pracę w prewentorium, postanowiłem dalej się kształcić, może tym razem się uda, bo w rzeszowskim nic z tego nie wyszło. Niestety, dwa lata składałem podania o przyjęcie i za każdym razem otrzymywałem odmowną odpowiedź. Wy tłumaczenie było bardzo proste -jestem jeszcze za młody, pierwszeństwo mają starsi nauczyciele. W tym czasie mogłem się uczyć tylko zaocznie na Studium Nauczycielskim. Takie studium było w Jeleniej Górze o kierunku WF z biologią. Dopiero, gdy pracowałem w Mysłakowicach, udało mi się dostać na 2 letni SN w lipcu 1967 roku. Również w tym roku urodziła się nam córeczka, więc zdecydowanie przybyło obowiązków dla młodego taty, studenta i nauczyciela. Większość studentów to ludzie starsi, a ja uchodziłem jeszcze za młodego. Studiowanie polegało na nauce własnej w domu. Zjazdy odbywały się w wakacje, przerwy świąteczne oraz soboty i niedziele, co 2 tygodnie. Biologia polegała na opanowaniu teorii, zaś WF na ćwiczeniach praktycznych. Ponieważ byłem młodym człowiekiem, więc nie miałem kłopotu z gramami sportowymi, gimnastyką, zabawami i tańcem. Egzaminy były podobnie jak na studiach wyższych. W wakacje mieliśmy obowiązkowe zajęcia praktyczne na basenie miejskim na ul. Sudeckiej. Ale aby

nie przeszkadzać mieszkańcom, to nasze pływanie odbywało się wczesnym rankiem o godzinie 7. W tym czasie woda była szalenie zimna i taka chudzina jak ja, już po kilkunastu minutach byłem przemarznięty do kości. Wtedy prosiłem prowadzącego zajęcia o pozwolenie wyjścia z wody i pobiegania wokół basenu. Puszyste panie patrzyły na mnie dziwnie, „co ten facet wyprawia”, bo one czuły się jak ryby w wodzie.

Po zakończeniu zajęć na basenie, każdy z nas miał otrzymać papiery instruktora pływania, oczywiście nikt z nas takiego dokumentu nie otrzymał. Pracę dyplomową pisałem o tańcach ludowych z rzeszowskiego. W tym czasie dostęp do maszyny do pisania był bardzo utrudniony, dlatego pracę napisałem ręcznie, a pięciolinie sam rysowałem na papierze. Jak było do przewidzenia WF-u prawie nigdy nie uczyłem, ale z biologii niekiedy prowadziłem zajęcia w klasach o nachyleniu rolniczym.

Szkoła w Mysłakowicach mieściła się i dalej jest w dawnym pałacu królewskim rodziny Hohenzollernów. To tu swoją letnią rezydencję mieli król pruski Fryderyk Wilhelm III, jego syn Fryderyk Wilhelm IV oraz cesarze niemieccy Wilhelm I i II w latach 1832 -1909. Po sprzedaży pałac przeszedł w prywatne ręce. Podczas wojny w pałacu przechowywano dokumenty z Berlina i Wrocławia. Po wojnie przez kilka miesięcy pałac był siedzibą dowództwa Armii Czerwonej. Przez 2 lata był siedzibą Państwowego Monopolu Spirytusowego, a następnie przez 3 lata stał opuszczony. Wtedy został doszczętnie splądrowany i zdemolowany. W 1950 roku władze lokalne zdecydowały, aby dawny pałac królewski przebudować na szkołę podstawową. Po 3 latach remontu i przebudowy z dawnych komnat powstały wielkie i funkcjonalne klasy. W 1953 roku do tak zmienionego pałacu wprowadziła się szkoła.

Gdy kierowniczka szkoły dowiedziała się, że w wojsku ukończyłem roczną Szkołę Podoficerską z Radiolokacji, czyli elektryczności i elektroniki, stwierdziła, że jestem dostatecznie wykształconym człowiekiem, aby w szkole objąć „katedrę fizyki” w klasach VI -VIII po koledze Stanisławie, który teraz wreszcie zajmie się tylko techniką dla chłopców.

Klasa do fizyki mieściła się na II piętrze, tam gdzie teraz jest język polski, do klasy przylegała mała izdebka, którą przeznaczyłem na zaplecze. W klasie stała 4 szafy z pomocami naukowymi. Aby zorganizować tak modne wtedy nauczanie w grupach, stare stoliki ustawiłem w kształcie litery U, w ten sposób w grupie 3 ławek siedziało

6 uczniów, a takich grup było w każdej klasie 5-6. Już wtedy w szkole znalazłem 2 stare duże biurka i złączyłem je razem oraz nakryłem ciemną ceratą. W ten sposób powstał duży, wygodny stół do przeprowadzania różnych doświadczeń i eksperymentów z fizyki.

Największym problemem był brak odpowiedniego zasilania prądem elektrycznym, wtedy w szkole nie było jeszcze odpowiednich pomocy tego typu. Wtedy z prośbą zwróciłem się do kierownika miejscowego PGR-u, którego dzieci uczyłem w szkole, o przekazania dla szkoły 2 starych akumulatorów od traktora „Ursus lub Zetor”. W ten oto prosty sposób mieliśmy już w szkole swoją elektrownię, którą co jakiś czas należało doładować w PGR. Już wtedy powstawały zajęcia pozalekcyjne dla chętnych uczniów o różnej specjalności. Na takich zajęciach zaczęliśmy wykonywać proste pomoce do fizyki, których nie można było nigdzie dostać. Niektóre z nich przetrwały do dzisiaj i dalej dobrze się mają.

Gdy w szkole w Mysłakowicach zatrudniono mnie na stałe, otrzymałem wtedy szansę, jako osoba potrzebna w gminie, aby otrzymać mieszkanie służbowe z małą opłatą dla gminy. Oczywiście wszystkie sprawy służbowe załatwiała żona, bo była w tym lepsza i miała koronny argument - była w ciąży. Po kilku miesiącach oczekiwania takie mieszkanie otrzymaliśmy w Mysłakowicach - jeden pokój i kuchnia o powierzchni 28 m², a wszystkie wygody na korytarzu lub podwórku.

Wynajęty malarz kolejowy, (bo tylko tacy mieli dostęp do farb), odnowił ściany, okna, podłogi i drzwi - oczywiście za pracę i materiał należało sporo zapłacić. Aby ogrzać malowane mieszkanie w styczniu, pożyczałem węgiel w szkole i woziłem go na sankach do nowego mieszkania oddalonego o 2 km. Do tak odnowionego malutkiego „pudełka” przeprowadziliśmy się z Miłkowa dnia 12 stycznia 1968 roku, po 2 latach dojeżdżania do pociągami do pracy. Przewożący nas kierowca zakładowej ciężarówki, robił sobie z nas żarty, kto to widział, aby książek było więcej niż mebli i ubrań.

Mimo że byłem jeszcze młodym nauczycielem, bo miałem zaledwie 6 lat praktyki, jednak pani kierownik szkoły przydzieliła mi wychowawstwo w klasie VII d. W klasie tej miałem większość przedmiotów, czyli uczniowie byli całkowicie zależni od wychowawcy. Uczyłem ich polskiego - głównie czytania na głos, pisania i opowiadania tego, co przeczytali, matematyki - 4 działania, ułamki, % i trochę geometrii, fizyki, chemii, biologii i geografii - w miarę możliwości wszystko praktycznie, namacalnie.

Ponieważ byli to uczniowie przerośnięci o 2 lub 3 lata, więc niektórzy mieli już po 16 czy 17 lat, dlatego i problemy z nimi były inne.

Wiele razy zamiast prowadzić zajęcia lekcyjne, szedłem do parku i szukałem ich, gdzie obecnie siedzą i co tam robią? Dziewczęta były wyrośnięte i gotowe do pójścia za mąż, dlatego nie w głowie im była nauka. Wywiady odbywały się wtedy 4 razy do roku, więc z rodzicami rzadko się spotykaliśmy.

Gdy pojawiały się problemy to brałem dziennik, wsiadałem na rower i jechałem do poszczególnych rodziców. Po takiej rozmowie uczeń przynajmniej miesiąc zachowywał się poprawnie. Klasę taką wymyślili sami nauczyciele przy poparciu kierownika szkoły i aprobacie Wydziału Oświaty w Jeleniej Górze. Pozostali nauczyciele pozbyli się z klas drugorocznych, opornych, źle zachowujących się uczniów. Byli wśród nich i bardzo grzeczni, kulturalni, ale z nauką mieli wielkie kłopoty.

Dzisiaj uczniowie ci mają już po 50 lat, gdy się spotykamy wspominamy tamte trudne i odległe czasy a oni swego opiekuna i wychowawcę. Dzisiaj uważam, że tworzenie takiej klasy było złym pomysłem na problemy wychowawcze. W klasie nie było wzorca, nie było, z kogo brać przykładu, nawet nie było, od kogo odpisać zadania. Uczniowie postawiony mieli jeden podstawowy warunek - muszą chodzić do szkoły systematycznie, a wtedy nauczyciel „stanie na głowie” i coś ich przecież nauczy, a oni ukończą szkołę podstawową. Po ukończeniu klasy 8, w większości poszli do pracy, tylko nieliczni poszli do szkoły zawodowej. Ponieważ była to najstarsza klasa, to pani kierownik często nas wysyłała do różnych prac fizycznych i społecznych, które na szkołę spadały. Chodziliśmy, więc na wykopki do PGR, zbierania kamieni na polach po wykopkach, sadzenia lasu, grabienia liści, kopania działki szkolnej, porządkowania ulic przed pochodem 1 majowym. Uczniowie ci zawsze chętni byli do każdej pracy i wtedy nigdy nie sprawiali żadnych kłopotów

Po 2 latach nauki fizyki w klasie na II piętrze, udało mi się przekonać panią kierownik, że pracownia fizyczna powinna mieścić się w dużej sali, gdzie zmieszczą się ławki, szafy z wszystkimi pomocami naukowymi. Salę taką otrzymałem na I piętrze po języku polskim + dwa zaplecza do przygotowywania doświadczeń, pracownia mieści się tam do dnia dzisiejszego. Ustawiłem tam ponownie stare biurko, duże krzesło i stołek obrotowy i wywalczyłem dwie tablice, czym naraziłem się koleżankom, że mam za duży

luksus, bo one mają tylko po jednej. Wreszcie miałem własną salę, do której nikt inny nie wchodził i nic mi nie ruszał. W tej sali odbywały się tylko lekcje fizyki i zajęcia z klasą 7 i 8 d. W sali tej przebywałem codziennie od godziny 8 do 15 prowadząc lekcje i zajęcia kółek zainteresowań.

Oprócz lekcji każdy nauczyciel zobowiązany był prowadzić bezpłatne zajęcia pozalekcyjne, minimum 2 godziny w tygodniu. Był to czas gdzie bardzo ważne było czy nauczyciel udziela się społecznie. Ja też prowadziłem takie zajęcia w sobotę po lekcjach, bo wtedy uczniowie mieli więcej wolnego czasu i mogli dłużej pozostać. W różnych latach były to różne kółka: majsterkowiczów, radiotechniczne, techniczne, operatorów filmowych, naprawy sprzętu audiowizualnego czy fizyczne. Uczniowie bardzo chętnie uczęszczali na takie zajęcia - była to dla nich doskonała rozrywka. Mieli wtedy dostęp do różnych urządzeń, przyrządów czy narzędzi. Dumni byli z tego, że mogą coś zrobić dla szkoły czy dla siebie.

Gdy z początkiem lat 70 tych pojawiły się wreszcie pieniądze na pomoce naukowe, wtedy kol. Stanisław - nauczyciel zpt i ja zgłosiliśmy się do pani kierownik, że możemy pojechać do Wrocławia do sklepu CEZAS na zakupy pomocy naukowych. Pani kierownik podzieliła pieniądze na poszczególne przedmioty, ale koleżanki bały się jechać tak daleko, no i jak potem przywieźć te pomoce. Z Mysłakowic wyjeżdżaliśmy pociągiem o godzinie 4³⁰ do Jeleniej Góry, a tam o godzinie 5³⁰ do Wrocławia. We Wrocławiu byliśmy już o godzinie 9 rano. Z dworca głównego z plecakami i torbami, szliśmy pieszo do rynku na Plac Solny gdzie w pobliżu mieścił się sklep zaopatrzenia szkół tzw. CEZAS. Tam ustawialiśmy się w kolejkę i czekaliśmy do godziny 10 na otwarcie sklepu.

Po wejściu każdy z nas otrzymywał aktualny wykaz pomocy naukowych do wszystkich przedmiotów z podaniem ceny. Po obejrzeniu propozycji i zasobności portfela robiliśmy zamówienie. Teraz znowu stawaliśmy do kolejki do kasy i około godziny 12 każdy miał w ręku zapłacony rachunek z wykazem pomocy. Teraz jeszcze jedna kolejka do magazynu i już o godzinie 15 mieliśmy na dziedzińcu wszystkie zamówione pomoce w kartonach. Po wyjęciu kupionych pomocy wkładaliśmy je do plecaków i wielkich toreb i powoli objuczony jak koń pociągowy szliśmy tym razem na dworzec Świebodzki, gdzie o godzinie 16³⁰ odjeżdżał pociąg do Jeleniej Góry.

Pewnego razu kupiłem barometr rtęciowy - szklana rurka 1, 5 m długości wypełniona rtęcią! Musiałem go powiesić na sznurku i przywiązać do szyi. Można sobie wyobrazić, jaka to była rozkosz jechać z takim towarem przez 3, 5 godziny w pociągu. Mam nadzieję, że każdy z was się domyśla, że w sklepie zawsze były tylko pomoce do fizyki i techniki, zaś do pozostałych przedmiotów w śladowych ilościach. Dlatego otrzymane pieniądze od koleżanek, aby nie przepadły przeznaczaliśmy na swoje przedmioty, im zaś kupowaliśmy drobne i tanie pomoce. Muszę przyznać, że będąc 3 razy we Wrocławiu zakupiłem do pracowni, wszystkie potrzebne pomoce naukowe, służą one do dzisiaj, ale niekiedy były bardzo ciężkie.

Po zapakowaniu towaru w plecaki szliśmy do baru mlecznego na ul. Świerczewskiego, aby wreszcie zjeść coś ciepłego, następnie szliśmy na dworzec kolejowy. W Jeleniej Górze byliśmy około godziny 20, skąd o godzinie 21 mieliśmy pociąg do Mysłakowic. Przy dobrych połączeniach w Mysłakowicach byliśmy o godzinie 21³⁰, a w domu o godzinie 22. Rano z plecakami i torbami szliśmy do szkoły gdzie należało się rozliczyć z kierownikiem szkoły z pobranych pieniędzy na zakup różnych pomocy naukowych. Prawda, że wszystko to takie proste, tak, że każda koleżanka mogła spokojnie pojechać i zakupić dla siebie potrzebne jej pomoce. Należy nadmienić, że podobny sklep powstał w Jeleniej Górze dopiero na początku lat 90 tych.

Teraz po rozpakowaniu pomocy i włożeniu ich do pustych szaf, należało dokładnie przestudiować instrukcje obsługi każdej zakupionej rzeczy. Wiele z nich widziałem pierwszy raz i nie miałem niekiedy pojęcia jak to wszystko działa. W domu przez najbliższe dni miałem obowiązkową lekturę, aby zapoznać się z budową i zasadą działania każdego przyrządu. I w taki sposób nauczyciel stawał się coraz mądrzejszy, szafy wypełniały się pomocami naukowymi a lekcje stawały się coraz bardziej atrakcyjne i ciekawe.

W sprzedaży niestety nie było tak potrzebnych tablic graficznych, do omawiania budowy i zasady działania poszczególnych pomocy. Takie pomoce musieliśmy sami kreślić na zajęciach pozalekcyjnych lub sam nauczyciel wykonywał je w domu tuszem i redisówką na kartonie, następnie oprawiać i wieszać na ścianie. Sporo jeszcze lat upłynęło zanim takie tablice pojawiły się w sprzedaży. Wtedy to nasze stare i wysłużone tablice zastąpiliśmy bardziej estetycznymi pomocami.

W miarę upływu lat, w Jeleniej Górze organizowano dla nauczycieli fizyki szkolenia, jak wykorzystywać ukazujące się nowe pomoce naukowe. Dobrze, że już wtedy do pomocy dołączone były specjalne instrukcje, również w czasopiśmie przedmiotowym „Fizyka w szkole” omawiano jak wykorzystać nowe pomoce w szkole. W wakacje 1972 roku we Wrocławiu został zorganizowany miesięczny kurs „radiotechniczny”. Z naszej gminy wytypowano mnie. Spanie i jedzenie zapewniała oświata, a kurs odbywał się w technikum na ul. Kamiennej. W każdy dzień od godziny 8 do 15 mieliśmy zajęcia teoretyczne i praktyczne z różnych dziedzin. Tam nauczyłem się bardzo dużo, bo sam musiałem wszystko robić. Należało: ciąć, lutować, układać przewody. Wszystkie wykonane i sprawdzone pomoce każdy zabierał ze sobą. Później wykorzystywałem je w szkole na lekcjach lub zajęciach pozalekcyjnych.

Zajęcia były ciekawe, interesujące i bardzo przydatne w dalszej pracy. Po zajęciach do wieczora czas był wolny np. do zwiedzania miasta. Trzeba powiedzieć że 35 lat temu Wrocław wyglądał nieco inaczej - skromniej, ale na człowieka ze wsi robił duże wrażenie. Zwiedzałem muzea, kościoły, mosty i sklepy. Wieczorem zmęczony, ale pełen wrażeń wracałem do internatu na kolację. Nasi opiekunowie oprowadzali nas po szkołach średnich, uniwersytecie, politechnice gdzie oglądaliśmy prawdziwe pracownie z fizyki. Wielu z nas po kilku latach spotkało się ponownie, ale tym razem na uniwersytecie, ale tam nie było już tak ciekawie i interesująco. Należy tu zaznaczyć, że na miesiąc opuściłem rodzinę tj. żonę i dwoje dzieci, zapewne nie było im łatwo ze wszystkimi problemami.

Po utworzeniu Gminy Mysłakowice w grudniu 1973 roku, latem 1974 roku powołano Zbiorczą Szkołę Gminną w Mysłakowicach. Zgodnie z założeniem ministra oświaty, szkoła ta miała stać się 10 - latką na wzór ZSRR. Niestety, założenia nie pokryły się z późniejszą rzeczywistością a zwłaszcza w latach 80 tych i cała reforma zakończyła się na zmianach programowych.

Dyrektorem ZSG został mianowany przez naczelnika gminy młody nauczyciel matematyki z Technikum Rolniczego w Bukowcu, zastępcą dawna kierowniczka szkoły, zaś zastępcą do spraw szkoły w Mysłakowicach ja. Funkcje tą z wielkim zaangażowaniem i poświęceniem sprawowałem przez okres 2 lat, ale później

zrezygnowałem, ponieważ postanowiłem zrobić specjalizację z fizyki. Zaś stanowisko to wiązało się z olbrzymią pracą i długim codziennym siedzeniem w szkole.

Wraz z utworzeniem ZSG, otrzymaliśmy sporo pieniędzy na doposażenie przyszłej 10 łatki i jej pracowni przedmiotowych. Tym razem po pomoce naukowe do Wrocławia jeździłem już samochodem ciężarowym przydzielonym przez Urząd Gminy. Po kilku takich wyjazdach zaopatrzyłem szkołę na wiele lat w różne pomoce naukowe. Teraz kupowaliśmy nie pojedyncze modele, lecz po kilka, do pracy w przyszłych grupach uczniowskich. Taki podział zajęć obowiązywał z fizyki, chemii, techniki i WF. Uczniowie na lekcjach w grupach sami wykonywali doświadczenia, a nauczyciel nimi tylko odpowiednio kierował i pilnował bezpieczeństwa. Na lekcji całościowej odbywało się podsumowanie pracy w grupach. Zapewne było to bardziej interesujące, ale wymagało od nauczyciela ogromnej roboty przed każdą lekcją.

W związku z pojawieniem się w szkole nowych urządzeń - pomocy audiowizualnych, należało odpowiednio przeszkolić nauczycieli i dużą ilość odpowiedzialnej młodzieży, byli to operatorzy różnego sprzętu. Przez wiele lat sam prowadziłem wszystkie kursy, na które uczęszczali zwłaszcza chłopcy. W tym czasie w Jeleniej Górze powstała wielka „Filmoteka”, która wypożyczała różnorakie filmy do wszystkich przedmiotów, a nawet do religii. Wyznaczeni przez mnie uczniowie i po otrzymaniu pozwolenia od rodziców, raz w tygodniu z plecakami i zamówieniem jeździli do filmoteki pociągiem, a później autobusem. Tam pobierali nowe filmy i oddawali te, które tydzień wcześniej wypożyczali. Przejazdy pokrywała szkoła, zaś wypożyczenia pokrywała oświata. Przeszkoleni uczniowie wyświetlali na lekcjach filmy popularno - naukowe, wyręczając w tym nauczyciela. Chłopcy byli z tego bardzo dumni, że mogą obsługiwać tak skomplikowaną aparaturę. Na dużych przerwach w jesieni i w zimie wyświetlali bajki dla całej szkoły. Teraz znowu należało powołać kółko do naprawiania sprzętu i klejenia zerwanych taśm filmowych.

Po utworzeniu ZSG, dyrektor powołał „klasy przysposobienia zawodowego” tzw. pz ty, dla uczniów z całej gminy, czyli z 11 wiosek, którzy byli przerośnięci wiekowo i mieli trudności z nauką. Klasy takich były o specjalności - rolniczej lub budowlanej. Przedmioty ogólne prowadzili nauczyciele z Mysłakowic, zaś zawodowe nauczyciele z Jeleniej Góry. Warunkiem przyjęcia do takiej klasy było ukończone 15 lat życia.

Praktykę uczniowie odbywali w PGR lub w pobliskiej fabryce czy brygadzie remontowej w szkole. Kurs taki trwał 3 lata i obejmował klasy:6,7,8. Po ukończeniu klasy 8 uczniowie mieli minimum 18 lat i mogli już iść do pracy w wyuczonym zawodzie.

Warunkiem ukończenia takiego kursu było codzienne uczęszczanie do szkoły i na praktykę. Opiekunami takich klas zostali doświadczeni nauczyciele. Dwie takie klasy, czyli przez 6 lat prowadziłem ja. Jak z tego wynika głównym moim zadaniem w szkole oprócz fizyki i wszelkich kółek była praca z trudną młodzieżą. Wtedy to poznałem dokładnie całą naszą gminę, gdyż bardzo często w niedzielne popołudnie, wsiadałem na rower i jeździłem do rodziców tych uczniów do Bobrowa, Wojanowa, Karpnik z zapytaniem, dlaczego syn czy córka nie chodzą do szkoły zawodowej.

W pierwszym kursie, po ukończeniu klasy 8, dwie uczennice w wakacje wyszły za mąż - miały już po 20 lat. Do dzisiaj mile ich wspominam, bo dla mnie zawsze byli mili, grzeczni do pracy, choć z nauką mieli często wielkie kłopoty. Dzisiaj mają już około 50 lat i mają swoje dzieci, często spotykam ich na moich trasach rowerowych i miło wspominamy tamte odległe czasy.

Po reformie oświaty w 1974 roku, minister oświaty zobowiązał wszystkich nauczycieli przedmiotowców do podnoszenia swoich kwalifikacji do poziomu akademickiego i uzyskania stopnia magisterskiego. Dobra: pamiętam, jak będąc zastępcą dyrektora zajmowałem się organizacją zastępstw za nieobecnych nauczycieli w szkole w piątki i soboty - dwa razy w miesiącu, gdy 10 nauczycieli z naszej szkoły wyjeżdżało na studia zaoczne do Wrocławia, Opola czy Zielonej Góry.

Z naszej gminy na studia z fizyki wysłano 4 osoby, studia ukończyłem tylko ja, pozostali po drodze zrezygnowali z różnych powodów. Władze oświatowe zwracały nam pieniądze za podróż, dietę i nocleg. Wyjeżdżaliśmy co 2 tygodnie na 3 dni przez cały rok oraz miesiąc w wakacje i 2 tygodnie w zimie. W lecie i w zimie spaliśmy w internatach szkół średnich, a w pozostałe dni w specjalnie powołanych „Hotelach Nauczycielskich” - o bardzo niskim standardzie lub na kwaterach prywatnych w mieście, które były płatne przez nas.

Studia na fizyce rozpocząłem rokiem 0 w celu wyrównania poziomu wiedzy z matematyki. Na studia kierowani byli nauczyciele w różnym wieku, stąd duża

rozpiętość w wiedzy z matematyki. Na zakończenie odbył się egzamin z matematyki i fizyki. Kursantów było 120 z Dolnego Śląska, nr studia przyjęto tylko 60 osób, pozostali musieli poczekać na następny rok. Podczas studiów i przed egzaminami, umawialiśmy się z kolegami na wspólną naukę. Chodziło głównie o nabycie umiejętności w rozwiązywaniu zadań z fizyki i matematyki. Takie koleżeńskie 2 dniowe zjazdy były też w Mysłakowicach. Nasze żony zapewniały nam wyżywienie i nocleg, a my w sobotę i niedzielę, gdy w szkole sale lekcyjne były wolne i dostęp do tablicy - uczyliśmy się. Jeden drugiemu pomagał i tłumaczył, dzięki temu wszyscy ukończyliśmy studia w wyznaczonym czasie. Największe kłopoty mieliśmy z ćwiczeniami praktycznymi - pracownią, bo po wykonywaniu ćwiczenia, w domu należało wykonać setki obliczeń a kalkulatorów jeszcze nie było. Przy takich obliczeniach zeszła noc, a rano należało ponownie iść na zajęcia. Każdy egzamin był dla mnie dużym stresem i wielkim przeżyciem. O uzyskanych wynikach należało się pochwalić żonie, dzieciom, dyrektorowi i kolegom z pracy.

W 1974 roku na jesieni w Mysłakowicach wybudowano 2 bloki dla pracowników DZPL „Orzeł”. Bloki oddano w stanie surowym - same ściany. Aby przyspieszyć ukończenie budowy, młodzieżowa organizacja ZMS w fabryce wzięła sprawę w swoje ręce, obejmując patronacką opieką wykończenie mieszkań.

Dla władzy osiedlowej i partyjnej zakładu był to cel wielce chwalebny. Specjalnie powołana komisja mieszkaniowa z DZPL wyłoniła listę rodzin, które otrzymają mieszkania. Na liście tej znalazła się też moja żona, która pracowała już w zakładzie 11 lat i należała do Spółdzielni Mieszkaniowej w Jeleniej Górze. Po ogłoszeniu przydziału mieszkań, ustalono ile godzin każdy przyszły lokato musi odpracować fizycznie na budowie przy wykończaniu mieszkań. Otrzymaliśmy przydział na mieszkanie M-5, bo mieliśmy 2 dzieci + 1 pokój dodatkowo dla nauczyciela tj. 64 m², w związku z tym należało odpracować 1 500 godzin.

Rozpoczęte studia należało przerwać i starać się o uzyskanie urlopu dziekańskiego. Przez 1, 5 roku w każdy dzień, po powrocie ze szkoły, przebierałem się w roboczy mundur i szedłem do pracy na bloki na godzinę 15 by przepracować 5 godzin do godziny 20. Pracowałem, jako pomocnik murarza, tynkarza, hydraulika, elektryka czy malarza, jednak najczęściej to kopaliśmy głębokie rowy na różne rury i przewody. Praca

niekiedy była bardzo ciężka, lecz jej cel bardzo chwalebny. Za wykonaną pracę + zgromadzony wkład + % od wkładu mieszkaniowego miało wystarczyć na tzw. kaucję. Po ukończeniu budowy otrzymaliśmy wymarzone wreszcie własne mieszkanie z bieżącą wodą w domu, własną ubikacją i centralnym ogrzewaniem. Na usterki nikt wtedy nie patrzył, ale z biegiem lat na to nasze „szczęście” zaczęliśmy patrzeć krytycznym okiem.

Po rocznej przerwie wróciłem ponownie na studia, zostawiając bardzo często na kilka dni żonę tym razem już z 3 dziećmi. Znowu było ciężko, a zwłaszcza żonie nauczyciela, której mąż ciągle gdzieś wyjeżdżał jak nie na kurs to na studia, ale taki to już nasz los. W czerwcu 1979 roku uzyskałem absolutorium na Uniwersytecie Wrocławskim, a w szkole wiązało się to z awansem zawodowym i podwyżką płacy. Dnia 20 listopada 1980 roku zdałem egzamin magisterski i wreszcie byłem wykształconym nauczycielem, ale jak na długo?

Temat mojej pracy powiązany był z pracą w szkole podstawowej. Zobowiązano mnie do ułożenia pytań do testu sprawdzającego wiadomości z fizyki dla uczniów wszystkich klas tj. od klasy I do klasy VIII. Musiały to być zadania w formie rysunkowej, które sam ręcznie rediśówką rysowałem na czystej karcie a pytania, do zagadnień napisała mi sekretarka na

Szkolnej maszynie. Uczniowie klas I - V po przeczytaniu pytania wybierali jeden z 3 rysunków, który uważali, że jest poprawny, zaś starsi uczniowie musieli się jeszcze dodatkowo wytłumaczyć, dlaczego dokonali takiego wyboru.

Tak przygotowany test sprawdzający należało powielić w takiej ilości ilu było uczniów w całej szkole podstawowej. W tym czasie nie było jeszcze takich masowych powielarni kserograficznych. Pamiętam, że ktoś mi doradził abym się udał do Komitetu Partii PZPR w Jeleniej Górze. Specjalne maszyny do powielania mieściły się w pomieszczeniach piwnicznych budynku partii. Zapłatą za wykonaną pracę poza kolejnością i bez powiadamiania przełożonych i nieodnotowana w dokumentach były 2 butelki dobrej wódki. W ten sposób przygotowany test sprawdzający rozdawałem w każdej klasie mojej szkoły, uczniowie zaś po przeczytaniu i zastanowieniu się udzielali odpowiedzi zakreślając odpowiednie rysunki.

Takich prac magisterskie' o tym samym temacie było kilkanaście w różnych miejscach Dolnego Śląska. To na ich podstawie pracownik uniwersytetu pisał pracę doktorską o podobnym temacie. Jaki był ogólny wynik naszych badań? Nikt z nas nie otrzymał takich informacji. My tylko mogliśmy wnioskować o wiadomościach, jakie posiadają nasi uczniowie, w naszej wiosce mający takich rodziców i nauczycieli.

Mając odpowiednie wykształcenie, duży staż pracy i dobrze a może bardzo dobrze wyposażoną pracownię fizyki - wielokrotnie prowadziłem zajęcia dla początkujących nauczycieli, którzy przyjeżdżali do Mysłakowic z różnych stron powiatu jeleniogórskiego. Wiele razy również demonstrowałem - pokazywałem doświadczenia z poszczególnych działów fizyki - dla naszych nauczycieli z powiatu w latach 80 tych. W mojej pracowni często odbywały się również zebrania metodyczne gdzie można było wykorzystać zgromadzone pomoce do pokazu przy omawianiu różnych zagadnień.

W latach 80 tych jeszcze raz pełniłem funkcję zastępcy dyrektora szkoły. Jednak nie wytrzymałem tam długo i już po 2 latach powróciłem do mojej ukochanej i wymarzonej pracowni fizycznej gdzie czułem się najlepiej pracując bezpośrednio z młodzieżą. W wakacje 1990 roku zostałem znowu wytypowany na „warsztaty metodyczne” do Nowego Sącza. Tam w ciągu miesiąca mieliśmy spotkania z autorami nowych podręczników do fizyki. Robiliśmy wspólnie wiele interesujących i ciekawych doświadczeń. Wspólnie rozwiązywaliśmy różne problemy występujące na lekcjach. Zaś po południu wędrowaliśmy po okolicznych górach i zwiedzaliśmy tamte kurorty.

Po zmianie ustroju postanowiłem startować na radnego Gminy Mysłakowice. Sporo mieszkańców na mnie głosowi to. Funkcje radnego sprawowałem przez 4 lata. Od września 1990 roku zostałem powołany za moją zgodą na stanowisko dyrektora Szkoły Podstawowej w Mysłakowicach. Na zastępcę dobrałem sobie kolegę matematyka, z którym razem działaliśmy przez okres 4 lat. Zarabiałem więcej, lecz w domu teraz byłem gościem, brak mi było rozmów z moimi dorastającymi dziećmi, a żona znowu sama została ze wszystkimi problemami. Dużo zmieniliśmy w pracy i wyglądzie szkoły.

Zaprowadziliśmy prawdziwą dyscyplinę w pracy, wielu pracowników musiało nauczyć się odpowiedzialności za swoją pracę i postępowanie. W szkole zapanował wreszcie ład i porządek. Po zmianie ustroju wielu ludzi zaczęło inaczej traktować swoje obowiązki. Wielkim wyzwaniem był dla nas wystrój szkoły, wreszcie koniec z gazetkami

i apelami okolicznościowymi. Postanowiliśmy, że na korytarzach będą osiągnięcia naszych uczniów udokumentowane fotograficznie. Po zakupieniu odpowiedniej aparatury, sami wykonywaliśmy setki zdjęć i tak powstawały kolejne gabloty, które wiszą do dnia dzisiejszego i przyciągają oko uczniów, rodziców i gości. Ponieważ do pałacu zaczęli zaglądać turyści, postanowiliśmy korytarz parteru udekorować gablotami o historii naszych wiosek.

Kiedy byłem radnym i dyrektorem szkoły okazało się, że wielokrotnie potrzebowaliśmy informacji o przeszłości naszych wiosek i obiektów. Tak oto powstał pierwszy pomysł napisania historii Mysłakowic od czasów najdawniejszych do dnia dzisiejszego. Książka taka potrzebna była dla dzieci, młodzieży oraz nauczycieli. Wspólnie z moją koleżanką podjęliśmy próby znalezienia materiałów archiwalnych w różnych instytucjach, które wtedy bardzo chętnie udostępniały swoje zbiory. Efektem naszej rocznej pracy była książka pt. „Mysłakowice dawniej i dziś”

Książką zainteresowała się pani wójt, która oddała ją do druku w 1994 roku w ilości 1000 egzemplarzy. Tak właśnie zaczęła się moja przygoda z historią wsi i całej gminy. Nawiązałem wtedy wiele znajomości w naszej okolicy i z Niemcami, którzy kiedyś tu mieszkali, a teraz odwiedzali dawny pałac królewski. Wszyscy dla mnie byli mili i chętnie służyli pomocą. Może dzięki temu, że tak długo pracowałem w szkole, teraz różne urzędy, dyrektorzy zakładów, proboszczowie i poszczególni ludzie, chętnie udostępniali mi swoje cenne pamiątki z pierwszych lat po osiedleniu.

Wielu ludzi opowiedziało mi swoją historię o pobycie w niemieckim obozie pracy przymusowej, o przesiedleniu ze wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, o wywózce na straszną Syberię, o szlaku wojennym I Armii WP, wysiedleniu Niemców, osiedleniu w 1945 roku. W książkach tych znajduje się tysiące zdjęć, a ich oryginały udostępnili mi mieszkańcy Mysłakowic, za co składam i n serdeczne podziękowanie. To dzięki nim, ich fotografie, dyplomy, świadectwa czy inne dokumenty pokazały bez fałszu obraz tamtych dni, sytuacje w domu, szkole, kościele, fabryce, na zawodach sportowych czy pochodzie.

Wraz ze zmianą ustroju na rynku wydawniczym pojawiły się nowe opracowania, bazujące na niemieckiej literaturze i ich dokumentach. Na specjalnych stoiskach, do dnia dzisiejszego można kupić pamiątki z tamtych lat: pieniądze, grafiki, pocztówki i zdjęcia.

Są to bardzo cenne materiały, ale zbyt drogie jak na kieszeń emerytowanego nauczyciela. Szkoda, że w tej sprawie tak trudno o sponsorów czy opiekunów.

Mając wiele materiałów historycznych, postanowiłem je wykorzystać w swoich prywatnych publikacjach, bo znalezienie wydawcy jest bardzo trudne. Tak powstały książki i albumy, pisane osobiście na komputerze (pisać nauczył mnie wnuczek), odbijane pojedynczo na kopiarce w Jeleniej Górze i tam też oprawione. Jest to wszystko bardzo kosztowne, bo w pojedynczych egzemplarzach + wiele przejazdów do miasta autobusem. A oto książki mojego autorstwa znajdujące się w mojej biblioteczce: Historia Erdmannsdorf, Historia Tyrolczyków, Historia Mysłakowic, Dzieje Mysłakowic w datach, Legendy i podania o wioskach naszej gminy, Kościół ewangelicki i katolicki, Historia pałacu, 60 lat szkoły, 33 lata Gminy, Wycieczki piesze i rowerowe po gminie i okolicy, Świadkowie tamtych dni, Mysłakowice -dawniej i dziś, Czas wielkiej wody, Historia 11 wiosek naszej gminy, Znam swoją gminę, Gmina Mysłakowice na starych pocztówkach, Artykuły z lokalnej prasy od 1945 r.

Gromadzone od wielu lat grafiki, pocztówki i stare zdjęcia posłużyły do zrobienia wielu albumów też tylko w jednym egzemplarzu: Pałac w Mysłakowicach, Kościół w Mysłakowicach, Bukowiec, Karpniki, Łomnica, Karkonosze, Śnieżka, Rudawy Janowickie, Jelenia Góra, Tyrolczycy, Gmina Mysłakowice, Wieś Mysłakowice, 55 lat szkoły, Wojanów i Bobrów, Karpniki i okolice. Wymienione książki i albumy niekiedy z okazji uroczystości gminnych na specjalnym stoisku udostępniam ludności naszej gminy. Zainteresowanie jest spore, wielu „oficjeli” obiecuje wtedy pomoc w wydaniu, ale zawsze na obietnicach się kończy. Do dnia dzisiejszego wydano dwie książki i trzy broszury. Jedną książkę i broszurę nawet przetłumaczono na język niemiecki.

Właśnie te widokówki pokazują dawną świetność naszych miejscowości. Z nich można dowiedzieć się gdzie stał pałac, kościół, pomnik, hotel czy gospoda; jak obiekty te wyglądały 100 lat temu; jak żyli i ubierali się ludzie; czym zajmowali się mieszkańcy naszych wiosek. Z samych tylko Mysłakowic posiadam po 20 latach zbierania ponad 300 starych pocztówek sprzed 1945 roku. Najpiękniejsze i najciekawsze są sprzed I wojny światowej, zaś te z okresu II wojny są bardzo skromne i czarno-białe. Najwięcej wydano ich w Cieplicach, Jeleniej Górze czy Mysłakowicach, ale posiadam również pocztówki z Berlina, Drezna, Lipska, Kolonii czy Erfurtu. Największymi ich wydawcami były firmy:

Leipelta, Mannicha, Hockendorfa czy Arnolda. Cen pocztówek wahają się od 50 - 200 zł.za 1 sztukę.

Za dobrą i sumienną pracę otrzymywałem sporo nagród od poszczególnych dyrektorów, inspektorów, kuratora a nawet ministra oświaty oraz różne resortowe odznaczenia łącznie z Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Za pracę w szkole każdy nauczyciel otrzymuje ocenę, co kilka lat, takie najwyższe oceny otrzymywałem przez wiele lat, a w 1994 roku za pracę dyrektorską i nauczyciela fizyki otrzymałem ocenę szczególnie wyróżniającą. Podczas pracy w szkole najbardziej ceniłem sobie posadę zwykłego nauczyciela fizyki, który bezpośrednio pracuje z młodzieżą.

Na emeryturę przeszedłem po 40 latach pracy w zawodzie nauczycielskim 1961 - 2001, a ze szkołą definitywnie pożegnałem się w 2005 roku po 44 latach pracy. Podczas swojej wieloletniej pracy w małych szkołach wiejskich uczyłem wszystkiego z wyjątkiem religii. W latach późniejszych uległo to wielkiej zmianie i zajmowałem się tylko jednym przedmiotem -fizyką. Dzisiaj, gdy już jestem na emeryturze często wspominam swoją pracę w szkole, cieszę się, że moi następcy tak na fizyce jak i w dyrekcji nie zniszczyli mojego dorobku. W dalszym ciągu dzieci, młodzież i nauczyciele mogą korzystać z mojego dorobku. Do dnia dzisiejszego z moich materiałów korzystali przy pisaniu pracy: 4 prace licencjackie, 2 prace magisterskie i jedna praca doktorska. Najczęściej z moich dokumentów korzystają uczniowie gimnazjum i liceum. Obecnie zajmuję się tylko historią naszych miejscowości. Ich dzieje są tak pasjonujące jak niegdyś fizyka. Są one ciekawe, interesujące i bardzo pasjonujące, pochłania to wiele czasu, energii i pieniędzy emerytowanego nauczyciela.

Kończąc tę opowieść o osach swojego życia, a na tym tle i mojej rodziny, pragnę stwierdzić, że mam wspaniałe i wykształcone dzieci oraz kochane wnuki. Byłoby grzechem gdybym w tym miejscu nie wspomniał o mojej kochanej żonie, która cały czas mnie wspierała i wyręczała z wielu obowiązków, gdy ja tak często wyjeżdżałem w różne miejsca w celu dalszego kształcenia się. Ona wtedy sama zostawała z dziećmi i tak było naprawdę, gdy zostawiłem ją z 3 dziećmi, a najmłodszy miał dopiero 1 miesiąc i pojechałem do Wrocławia na miesiąc czasu.

Tak mijały kolejne lata, dzieci rosły, rosły też wymagania finansowe, mieszkaniowe, a moje zarobki w stosunku do innych grup zawodowych zostawały

zawsze w tyle. Aby stanąć na wysokości zadania, zawsze pracowałem więcej niż jeden etat i brałem wiele zastępstw za nieobecnych. Ale bardzo się cieszę z tego, że mimo nieraz sporych kłopotów finansowych, pomagaliśmy całej 3 dzieci, ukończyć wybrane przez siebie wyższe studia. Może nie mieli tego wszystkiego, co inni, ale w miarę możliwości pomagaliśmy każdemu tak finansowo jak i w postaci różnych gotowych produktów żywnościowych.

Dziś każde z nich ma już swoją rodzinę i własny dom. Teraz my, jako rodzice i dziadkowie, jedziemy czasem, aby ich odwiedzić, porozmawiać, zobaczyć i niekiedy wysłuchać, jakie i oni mają kłopoty. Ale ta wioska pod Śnieżką na zawsze dla nich pozostanie „Małą Ojczyzną”, gdzie każde z dzieci urodziło się i wychowało, gdzie każdy chętnie będzie wracał, niezależnie od tego ile mamy lat i czy rodzice jeszcze żyją.